

Ciekawy spektakl w londyńskim POSK-u „Porwanie Sabineek” w Teatrze Nowym

Tamara Karren

„Porwanie Sabineek” była to bardzo popularna farsa końca XIX wieku pióra braci Schönthanów. Jak na ciężkawy gust germański, lotna i zabawna. Grywano ją latami na wszystkich scenach Europy — nie wyłączając scen polskich. Grywali ją najwięksi nasi aktorzy — nie pogardził rolą dyrektora Striesego (przemianowanego później na Strzyga-Strzyckiego) nawet wielki Frenkiel.

W końcu lat trzydziestych uznano, że mimo dalszego powodzenia w świecie, krotoczwila wymaga odmłodzenia. Tej kuracji odmładzającej — muzyczno-poetyckiej podjął się Julian Tuwim. I swoim żywiołowym talentem, humorem, piękną zabawą w słowa — stworzył ją od nowa, przemieniając w najzarowniejszą, najzabawniejszą komedię muzyczną. Rozśpiewana, rozbujała, oszalała — w porównaniu z pocziwą farsą niemiecką — to tak jakby w naszego Bałuckiego wstrzyknąć potężną dawkę koniaku (jak mówił Boy). Fantazja komizmu nie ma w niej granic. Stateczny nauczyciel łaciny pisze komedię którą robi kłapę w prowincjonalnym teatryku. Jego służąca poprawia zeszyty uczniów profesora, gdy on biega na próby, uciekając przed pantoflem żony, pod którym mocno siedzi. Jedna córka, zazdrosna o męża robi mu sceny nawet o cytowane wiersze o żeńskich rymach, zięciule konspiruje z profesorem jak wydostać się z obowiązkowego „szczęścia rodzinnego” w domu. Pomaga im najmłodsza profesorówna. Szczytem oszalałego komizmu jest postać dyrektora wędrownego teatru, którą Tuwim podniósł do symbolu niebotycznej szmiry i rozpasanego humoru, naszpikował piosenkami, kupletami, wstawkami tanecznymi, kan-kanem — w tym szacownym profesorskim domu, którego domownicy nie chodzą do teatru, bo pani domu uważa że teatr to „największa rozpusta”.

I tę właśnie oszalałą humorem komedię-farsę wystawia obecnie „Teatr Nowy” w POSK-u. Od chwili podniesienia kurtyny, od psychodelicznego prologu czterech pięknych dziewczyn w kostiumach z trzeciorzędnej kabaretu (Anna Dąbrowska, Urszula Filipowicz, Wanda Lisowska, Ewa Siwecka), ślicznie machającymi nóżkami i zmysłowo niewinnie uśmiechniętymi — zaczyna się ta wielka zabawa. W miarę rozgrywania się akcji — niewinnej i nie takiej ważnej, ale okraszanej takim humorem, tak rozkosznie wykonanymi kupletami, z takimi, pełnym wdzięku, przerywnikami tanecznymi, publiczność bawi się razem z aktorami i nieustające wybuchy śmiechu zagłuszają często słowa aktorów. Przedstawienie to miało szczęście do zespołu, role obsadzone nieomylnie. Nawet Daniel Woźniak, którego talent i rozpiętość możliwości znamy, pokazał że może zagrać również starszego pana, łacinnika, safandulę. Jest nieprzeparcie komiczny, a przy tym wzruszający jako autor młodocianej sztuki i młodzieńczo

podniecony jej nieoczekiwanym teatralnym losem. Reszta naszych wypróbowanych już ulubieńców — Lena Harrison, Joanna Kańska, Matylda Szymańska, Danuta Zięciowska, Waclaw Dybowski, Jacek Jezierzański, Janusz Szydłowski — dali z siebie wszystko, co mieli najlepszego, Szymańska doskonale utrzymała się w stylu afektowanej prowincjonalnej pani profesorowej. Danuta Zięciowska, jako zazdrosna Madzia, jak zwykle buchała temperamentem, stonowanym a porywającym, Joasia Kańska, pełna wdzięku i słodyczy jako młodsza profesorówna mogła łatwo powtórzyć swój „szlagier” — Lolę w „Ta noc nie powtórzy się więcej”, ale szczęśliwie nie zrobiła tego. Lena Harrison — jako wspomniała garkotłuk-łacinniczka, przeżabawna, Janusz Szydłowski (pamiętny jako wdzirek z „Ta noc . . .”), elegancki nawet w zwariowanych farsowych momentach — gra, śpiewa, tańczy z klasycznym umiarem pełnym przy tym humoru. Stworzył przekonujący typ solidnego małżonka i prowincjonalnego lekarza — ze skłonnościami do hulanki. Waclaw Dybowski nie zawiodł nas jako szlagon pan Gromski. Śmieszny do łez przemawiając („cicho ma lutka”) do swojej chorej wątroby. Jacek Jezierzański coraz lepszy jako „amant”. Oddzielne słowa należą się gościowi zespołu — Jerzemu Zelnikowi. W postaci dyrektora teatru Strzygi-Strzyckiego, szmirę nad szmirami rozwinął niepospolitą siłą komizmu, którą podnosiła jeszcze jego wspaniała demoniczna maska. Scena w akcie trzecim, gdy oznajmia on kłapę nieszczęsnego przedstawienia „Porwanie Sabineek” w obsadzie jego „teatru” — to cały poemat.

Trzeba jeszcze pamiętać, że do tej czysto farsowej, niemal pękającej od nadmiaru konceptów krotoczwili, trzeba dodać to, co najbardziej ją podnosi i ubarwia — piosenki, tańce i całą muzyczną zabawę —

wszystko szalejące humorem i temperamentem, a na tyle poskromione, że nie przechodzi tego niebezpiecznego progu — szarzy.

Jest to niewątpliwie zasługa reżysera. Jerzego Wróblewskiego, (gościa z Polski), który nie tylko zorganizował tę rozpasaną komedię w konsekwentną i zrozumiałą całość, nie tylko wydobyl z aktorów ich najlepsze możliwości, ale potrafił utrzymać ich na wodzy, poprowadził ich silną, a delikatną ręką. Wszystkie te momenty, które łatwo mogły się stać „szmirawate” podane były — mimo rozhułanego humoru — elegancko, lekko i z wielkim smakiem. Interesującą innowacją Wróblewskiego było wprowadzenie prologu, skomponowanego ze „Słówek” Boya, świetnie siedzącego w epoce. Jak napisałam na wstępie przedstawienie miało szczęście do zespołu. Odnosi się to przede wszystkim do reżysera, którego współpracę, mam nadzieję, nasz teatr jeszcze nie raz zdobędzie. To „szczęście” odnosi się również do niezrównanej Barbary Fijewskiej, której choreografia podniosła barwność przedstawienia i dodała mu dodatkowego wdzięku. Strona muzyczna, oprócz zadziwiających możliwości głosowych Urszuli Filipowicz (ole!) i Joasi Kańskiej (?!?) leżała w kompetentnych rękach Marii Druce i Anny Dąbrowskiej. Toalety pań — wyglądały jakby właśnie wyszły z wytwornego wnętrza XIX-wiecznego Wiednia — autorstwo ich pozostaje tajemnicą — dodały dużo do urody pań.

Urszuli Świącickiej należy się specjalne podziękowanie za zainicjowanie i zorganizowanie tego przedstawienia.

P.S. Przypomniano mi, że „Porwanie Sabineek” grane było przez Teatr ZASP-u w wczesnych latach pięćdziesiątych — z Lawińskim i Wojciechem Wojteckim.

Podsłyszane po premierze, że gdyby to przedstawienie szło na londyńskim West Endzie — recenzje pisał by peany („Something you must not miss”), publiczność waliłaby szturmem do kasy i przedstawienie szłoby miesiącami, jeśli nie latami. U nas — skromniutki, ubozutki trzy „weekendy” — dwanaście przedstawień!